

[SPOŁECZEŃSTWO]

Czterdziestolatek

Miś

Rozmowa ze Stanisławem Tymem o kultowym filmie „Miś” na 40. rocznicę premiery.

JOANNA PODGÓRSKA: – **Skąd on się wziął; ten miś?**

STANISŁAW TYM: – Z mojego spotkania ze Staszkiem Bareją. Poznaliśmy się kilka lat wcześniej na planie filmu „Poszukiwany, poszukiwana”. Występował w nim mój przyjaciel Jurek Dobrowolski. Kręcili w Kozłówce pod Lublinem. Miałem wtedy samochód Dacia 1300, czyli coś w rodzaju renault. Wszystko w nim było francuskie. Jedynym elementem rumuńskim był przykręcony do błotnika blaszany napis „Dacia”, który zresztą szybko zardzewiał i odpadł. Samochód spokojnie wyciągał 140 na godzinę. Jurek dzwoni do mnie z Kozłówki i mówi: Stasiu, mam do ciebie wielką prośbę, muszę w Świnoujściu załatwić wczasy dla rodziny. Zawieszasz mnie? Pytam: kiedy? Okazuje się, że najpóźniej pojutrze. No to pojechałem do tej Kozłówki. To był ich ostatni dzień zdjęciowy. W pewnym momencie Jurek zawołał: Barejo, mogę cię prosić? Chciałem ci pokazać mojego przyjaciela Stanisława Tyma. Bo wiesz, on tu przyjechał z Warszawy, żeby mnie zawieźć do Świnoujścia. To kawał drogi, benzyna w obie strony kosztuje. Daj go gdzieś na trzeci plan w ostatniej scenie, to będzie miał swoją stawkę aktorską. Bareja na to: bardzo dobry pomysł, ale mamy już tylko jedno ujęcie z tobą, i to jest zdjęcie twojej ręki, która przystawia pieczętkę. No i zagrałem rękę Dobrowolskiego, od której zaczyna się film. I tak się z Bareją poznaliśmy. Chociaż są poszlaki, że mogliśmy się spotkać dużo wcześniej, w 1959 r., jako statyści grający powstańców warszawskich w filmie „Cafe pod Minogą” według Wiecha.

Ale co z tym misiem?

Mieliśmy już za sobą „Bruneta wieczorową porą”, przy którym się mocno skonfliktowaliśmy. Pisało nam się nieźle, ale potem nasze rogate dusze się rozeszły. Na szczęście na krótko. Napisaliśmy „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz?” – niby anegdotkę o tym, jak jeden przyjaciel wyrolował drugiego, ale przecież był to pretekst. Nakręciliśmy satyrę polityczną, całkiem porządną jak na tamte czasy. Film został zmasakrowany przez cenzurę. Wtedy Staszek poprosił mnie na dłuższą rozmowę: Te czerwone kłamczuszki – tak zawsze pieszczotliwie mówił o naszych bolszewikach – nie będą nam dyktować, co mamy robić. Piszemy nowy scenariusz? Oczywiście! Gierek się kończy, mówił Bareja, młode wilczki upominają się o swoje, przyjdzie ostra zima i będzie z niego sople lodu. My sobie w tym czasie kręcimy film, zmontujemy go na wiosnę i jak będzie kolaudacja, to nikt nie będzie miał głowy się czepiać. W partii będą żarli się o władzę. No i znów pisaliśmy tak, jakby nie było cenzury. Po nakręceniu filmu...

Zaraz, zaraz, ale skąd w końcu ten miś?

Anegdota była prosta – małżeństwo próbuje się wzajemnie wykiwać w kwestii dostępu do zagranicznego konta. Trudności paszportowe i te rzeczy. Ale potrzebowaliśmy jakiegoś absurdalnego symbolu, który jednocześnie kompromitowałby PRL. Postanowiliśmy zbudować pomnik idiotyzmu, a żeby było taniej, to ze słomy. Tak jak dzisiaj Centralny Port Komunikacyjny.

Czy elektrownia w Ostrołęce...

Albo przekop Mierzei Wiślanej „na skalę naszych możliwości, którym otwieramy oczy niedowiarkom”.

I to nie jest nasze ostatnie słowo.



Jedna z kopii, która zagrała w „Misiu”.



Stanisław Tym, (ur. w 1937 r. w Małkini) – satyryk, rysownik, aktor (m.in. w „Rejsie” i „Misiu”), reżyser, scenarzysta, felietonista POLITYKI od 2007 r. Youtuber z kilkumiesięcznym stażem. Na fot. **artysta w różnych wcieleniach z „Misia”**. Powyżej: ze **Stanisławem Bareją**.

Tak jest. Zbudowaliśmy więc słomianego misia. Kaczyński właśnie dobiegał trzydziestki, a my już wiedzieliśmy wszystko. Staszek trochę obawiał się skojarzeń z chochołem z „Wesela”, że niby mamy niezdrowe ambicje. Ale go przekonałem, że przecież Wyspiański też był Stanisław, jak my obaj.

Scenariusz pisaliście u pana na wsi, na Suwalszczyźnie.

Dobrze się bawiliście?

Trochę u mnie, ale raczej u Staszka w Warszawie. A bawiliśmy się faktycznie świetnie. Ten miś zaczynał nam się coraz bardziej podobać jako symbol wszechogarniającego absurdu. Po co nam ten miś? Nie wiadomo, a jak nie wiadomo, to nikt nie zapyta. Bardzo byliśmy dumni z dialogu, w którym Ochódzki tłumaczy, że potem miś sobie spokojnie zgnije, zrobi się protokół zniszczenia i wszyscy zarobią. To były niezapomniane rozmowy. Jestem przekonany, że gdybyśmy tylko chcieli, to i Bareja, i ja moglibyśmy być świetnymi I sekretarzami PZPR, bo ilość głupot, jakie mogliśmy wymyślić, była nieskończona. Siedzieliśmy u Staszka na górze, w jego pokoju. Jego córka Kaśka się wściekała, bo myśmy cały czas ryczeli ze śmiechu, a ona – zamiast podsłuchiwać – musiała w kuchni pilnować garnka, w którym destylował się bimber. Bo obaj pędziliśmy cały czas. Ja u siebie, on u siebie, naprawdę duże ilości. Na balkonie miałem dwie beczki z zacierem po 50 litrów. Wszystko zawodowo: utlenianie, redukcja. W końcu studiowałem chemię. Staszek też miał duże doświadczenie. Rozprowadzaliśmy ten bimber wśród kolegów w formie prezentów. Ktoś przychodził i pytał:

nie masz może butelki bimbru? Człowieku, jak chcesz, bierz nawet trzy. Wybieraj: czysty, smakowy.

Nie wpadliście z tym bimbrem?

Bóg uchował. Ja robiłem też wino. Miałem już sad na Suwalszczyźnie: jabłka, śliwki, gruszki. A jak smakuje wino z leśnych malin! Można powiedzieć, że dawałem sobie wtedy duże szanse na alkoholizm, ale najwyraźniej byłem w tym procencie, który się łatwo nie uzależnia. Przy czym to nie jest tak, że myśmy z Bareją siedzieli i tankowali. Dużo czytaliśmy i gadaliśmy o lekturach, bo przy „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz?” przesznułowaliśmy z Paryża całą skrzynię książek od Giedroycia. Były opakowane tak jak negatywy, żeby nie można było zajrzeć nawet na cle, bo to groziło prześwietleniem taśmy. I któregoś dnia pracy przy „Misiu” Staszek pyta: to do jakiego miasta tym razem pojedziemy? To może do Londynu – odpowiadam. A Bareja: bardzo dobry pomysł. No i takeśmy pojechali do Londynu. Budżet był ograniczony, więc wysłano tylko niewielką część ekipy: kierownika produkcji, operatora, Staszka i mnie.

Resztę Londynu podobno dorabialiście chałupniczo w Warszawie.

Lotnisko Heathrow zainscenizowane było w holu jednego z wieżowców, a zagranicznych pasażerów zagrali studenci anglistyki, pracownicy handlu zagranicznego i zachodni dyplomaci, bo wiadomo, że będą trochę odbijali garniturami, a głównie obuwem od przeciętnej krajowej. To był już mortus, czasy kartkowe, ze wszystkim ciężko. W Londynie prawie nie było kim ►

► grać, więc skupialiśmy się na detalach. Ogrzywaliśmy polską kiełbasę podwawelską, którą niby przywiozłem, a tak naprawdę kupiliśmy ją w polonijnym sklepie, w którym obsługiwała nas ciemnoskóra sprzedawczyni. Aktorka, też zagrała w „Misiu”. Nawet nie wiem, jak się nazywała, nie została umieszczona w napisach końcowych. Po zdjęciach spieszyła się do teatru i tak nam zniknęła. Znaleźliśmy za to w Londynie... Ale po kolei. Podczas jednego ze spacerów wstąpiłem do ośrodka polonijnego POSK na kawę. I nagle słyszę: Staszek, co ty tu robisz? Krysia Podleska. Zналиśmy się z widzenia, bo bywała w Warszawie, grywała w filmach, m.in. u Zanussiego. No to opowiadam, że kręcimy uciekające zdjęcia do filmu „Miś”. Najpierw myślała, że to coś dla dzieci. Pokrótkę streściłem jej fabułę, że mąż próbuje wykołować żonę, a pomaga mu w tym kochanka. Gdy spytała, kto gra kochankę, uczciwie przyznałem, że jeszcze się zastanawiamy. Krysia popatrzyła na mnie i mówi: Staszek, to ty nie wiesz, kto to zagra? Ja – i rzuciła mi się na szyję. Zagrała zjawiskowo. Szczęśliwy przypadek, jak zwykle w moim życiu. Przecież my w tym Londynie byliśmy tylko kilka dni. Mogliśmy się minąć. Nie wiem, co mnie podkusiło z tą kawą, której wtedy właściwie nie piłem. Powinienem chyba kupić tego wieczoru los na loterię.

„Miś” to też film o kręceniu filmu.

Te plany się przenikały. Jak to było z „Ostatnią paróweczką hrabiego Barry Kenta”?

Staszek Bareja pochodził z masarskiej rodziny z tradycjami. Chciał, żeby parówki wyglądały porządnie, a to, co wtedy można było kupić, się nie kwalifikowało, bo było w obskurnej, plastikowej osłonce. Kierownik produkcji załatwił pisemną zgodę Ministerstwa Handlu Wewnętrznego na zakup kilkudziesięciu metrów jelita baraniego i Bareja czymś je wypchał. Namoczoną tekturą albo jakąś inną papką.

Czytałem, że rozgotowaną serdelową.

Możliwe. Też niejadalne. Szybko zieleńiały i trzeba je było „zabezpieczać” soloną cebulą. Świetnie wypadły. W każdym razie u nas na planie nie było „parówkowych skrytożerców”. Baleron, który zagrał w scenie teatralnej (patrz synku, tak wygląda baleron), wyglądał naprawdę wspaniale, więc Bareja na wszelki wypadek powiedział na planie, że jest zatruty. Nie do wiary, ale z drugiej strony „Miś” został potraktowany jako film instruktażowy. Podobno w pewnym państwowym zakładzie pracy, w stołówce, bardzo spodobał się pomysł z przykręcanymi talerzami. Próbowali, ale im zupa przeciekała, więc chcieli wiedzieć, jak nam się udało to uszczelnić. A mój przyjaciel Joas Lamża wypatrył w barze łyżki zamocowane na łańcuchu. Zdemontował i dał mi w prezencie. Mam je do dziś – dwie aluminiowe łyżki z wywierconymi otworami w trzonkach.

Bareja lubił grać epizody w swoich filmach. W „Misiu” pokazał się jako właściciel polonijnego sklepu. Jego córka Kasia zagrała sekretarkę, a młodszy syn Janek harcerza, który liczy ludzi w kolejce do apteki. Ale tym razem wystąpiła też pana rodzina.

Tak. Brat Antoni – zagrał w ostatniej scenie przechodnia z psem, brodaczem monachijskim. No i przede wszystkim mój ojciec, który był mistrzem fryzjerstwa damskiego. Czesanie żelazkowe, kto to pamięta... W „Misiu”, w scenie, gdy proszę, żeby ogolić mnie na kompletnie łysą pałę, strzyże mnie właśnie on, Kazimierz Tym.

Skończyliście „Misia”, tylko że Gierek jakoś nie chciał się skończyć.

Pierwsza kolaudacja była rzeźnią. W przypadku Staszka Barei to zawsze były straszne spektakle, bo członkowie komisji, tacy jak narodowy patriota reżyser Bohdan Poręba, siekali go jak mięso na tatar. Argumenty Barei, Konwickiego czy Morgensterna nie miały najmniejszego znaczenia. Cenzura chciała wyciąć jedną czwartą „Misia”, m.in. sceny z mięsem w kiosku ruchu czy obiadu w barze mlecznym. Wypaść miały takie teksty, jak „to jest miś na skalę naszych możliwości”, „czy słuszną linię ma nasza władza”. Byliśmy rozczarowani, że Gierek nie padł na czas. W dodatku do Warszawy wiosną 1980 r. przyleciał Breżniew i tak się całowali, że Krysia Podleska powiedziała: ty byś tak nie potrafił. Zrozumieliśmy, że „Miś” idzie na półkę. Czekaliśmy. Pierwszy wydarzył się strajk tramwajarzy w Lublinie. Oni zaczęli, ale to było za mało. I nagle latem ruszyła stocznia w Gdańsku, resztę już wszyscy wiedzą.

Krytyka nie przyjęła dobrze „Misia”. Padają określenia: „zlepek gagów”, „żart o lekkości kafaru”. Ale publiczność i tak tłumnie waliła do kin.

Bareja od zawsze miał z krytyką pod górkę – lekceważyla go, uznawała za reżysera od taniochy. A gdy „Miś” wchodził do kin, sytuacja polityczna była tak ostra, że film o idiotycznych perypetiach jakiegoś prezesa do niej nie przystawał. Ludzie mieli emocje gdzie indziej. Sam, gdy byłem na premierze w kinie na Saskiej Kępie, czułem pewne niedopasowanie. Czas był już inny. 13 grudnia obudził nas stan wojenny, no może nie wszystkich, ale prawie. „Miś” znowu poszedł wyleżeć się na półkach.

Do dziś mówimy „Misiem”, niestety nawet coraz częściej. W jednym z wywiadów Bareja stwierdził, że bohaterem tego filmu jest wszechobecne kłamstwo.

Na tym polega jego aktualność?

Między innymi, ale nie tylko. Bohaterowie w pewnym sensie się wzajemnie nie okłamują. Kiedy Ochódzki o słomianym misiu mówi: „I to nie jest nasze ostatnie słowo”, to przecież kpi z siebie samego i ze wszystkiego dookoła; wie, że kłamie. W tym sensie to może być prototyp Jacka Kurskiego, który mówi:

ciemny lud to kupi. Ale weź teraz i sparoduj telewizję Kurskiego. Dziś nakręcenie satyry politycznej jest praktycznie niemożliwe. Przymierzałem się do tego, ale nie miałem w sobie kowboja. Może gdyby Staszek żył, tobyśmy obecnym czasom nie odpuścili. Ale z drugiej strony – JAK? Przecież nie da się parodiować parodii. Może Molier czy Gogol daliby radę.

Poziom absurdu jest dziś wyższy niż w PRL?

Na pewno jest równie nikczemny. A poza tym: myśmy sobie to zrobili sami; na własną prośbę. Po pierwszych rządach PiS nie wyciągnięto konsekwencji z tego, co się działo. Zlekceważono to. Uznano, że było, minęło. No i dziś mamy rezultaty. Można wyśmiewać to, co się dzieje, ale żal tych zmarowanych lat i tak strasznie oszukiwanych ludzi. Trochę jak w „Misiu”. Wszyscy obryzgni błotem przez słomianą kukłę słuchają Ewy Bem, która śpiewa: „By to była ziemia spokojna i dobra/Ziemia sprawiedliwa, wszystkim ludziom szczodra”.



Miś narysowany przez Stanisława Tyma.